

Maria Misiak

Nerwopoci i misiowie puszyści

Rozmowa z Robertem Kasprzyckim, śpiewającym autorem, piosenkarzem i lirykiem przewrotnym

Na pańskiej stronie internetowej można przeczytać „poeta, muzyk, kompozytor, śpiewający autor, okazjonalny recenzent muzyczny, felietonista i krytyk literacki”. Dziennikarz i artysta. Czy z punktu widzenia jednej i drugiej strony barykady istnieją pytania, których nie powinno się zadawać?

Wydaje mi się, że jest to zależne od przyjętej formuły. Jeżeli się robi dziennikarstwo tabloidowe, „superexpressowo-faktowe” to można „jechać” i po chorobach nowotworowych. Dziennikarstwo jest przecież wolnoamerykanką, to przeciwnicy określają reguły ...

Czy podczas wywiadów zdarza się panu budować mur między sobą a rozmówcą?

Nie. Chyba, że jest żelbetonem wyjątkowym... (śmiej) ale to się rzadko zdarza, bo ci, którzy wiedzą, że rozmowa ze mną jest, hm, specyficzna, nie próbują wcale.

A muzyka ułatwia komunikację?

Kiedyś wydawało mi się, że jest jedyną i najlepszą drogą.

Za co chwycił pan wcześniej- za gitarę czy pióro?

Oczywiście, że za gitarę. Granie na gitarze jest znacznie prostsze

...ze skutkiem..?

Wystarczająco dobrym, żeby uznać to za wystarczający poziom, by móc chwycić za pióro. (śmiej)

Skąd wzięła się u Roberta K. idea pisania?

Myślę, że w wyniku rozmaitych rodzinnych porażek psychicznych, traum młodonarzędzieńskich, przedmażeńskich rozmyślań, pewnego dnia doszedłem do wniosku, że pisanie jest dobrą metodą oczyszczenia, odreagowania, „wypisania” siebie. Po pewnym czasie z nadmierną zapewne pychą stwierdziłem, że te przemyślenia mogą komuś się przydać. To jest drugi poziom bezwstydu, na który czasem wpada człowiek piszący. Trzeci poziom to ten, na którym sądzi, że wszystko, co powie jest wielkie i wybitne, bo on to powiedział. (śmiej)



ROBERT KASPRZYCKI

Urodzony w Śremie w 1969 roku, poeta, muzyk, kompozytor, wokalista. Obecnie mieszka i tworzy w Krakowie. Absolwent filologii polskiej w krakowskiej Wyższej Szkole Pedagogicznej.

Okazjonalny dziennikarz radiowy, recenzent muzyczny, krytyk literacki i felietonista. Współpracuje z „Gazetą Wyborczą” i „Tygodnikiem Powszechnym”.

Zadebiutował w 1992 roku na Studenckim Festiwalu Piosenki w Krakowie, gdzie zdobył I nagrodę oraz Stypendium im. Wojciecha Belona, przyznaną autorowi najlepszemu tekstu. Laureat I nagrody na XX Spotkaniach „Śpiewajmy Poezję” w Olsztynie, I nagrody w konkursie o „Złamane Pióro” (za twórczość poetycką), otrzymał wyróżnienie na festiwalu Rockowym Węgorzewo '94, Główną Nagrodę - Nagrodę Publiczności na V Reminiscencjach Poetyckich w Opolu, „Grand Prix” na V Ogólnopolskim Festiwalu Piosenki Studenckiej „Lykend” we Wrocławiu, a także wyróżnienie za tłumaczenia poezji Horacego i Owidiusza.

Członek i współzałożyciel Ni-Kabaretu „Zielone Szkiełko”. W roku 1995 i 1996 wystąpił na Krajowym Festiwalu Polskiej Piosenki w Opolu.

Singiel „Niebo do wynajęcia” z debiutanckiej płyty o tym samym tytule, wydanej w roku 1997 uznany został przez słuchaczy Programu I Polskiego Radia za najlepszą nową piosenkę literacką, cały zaś album otrzymał nominację do nagrody „Fryderyk” w kategorii Album Roku - Piosenka Poetycka. Rok 2006 zaowocował wydaniem drugiej płyty, noszącej tytuł „Światopogląd”. W roku 2007 nakładem Polskiego Radia Kraków ukazało się wydawnictwo literacko-muzyczne „Piosenki i Nie”, będące wyborem wierszy i piosenek autora. Od 1995 roku Kasprzycki występuje ze stałym zespołem, współpracuje również z innymi twórcami, takimi jak folkowa grupa Carrantuohill oraz artyści kabaretu Piwnicy pod Baranami.

Zatem sam sobie Pan zgotował ten „grzech, za który nigdy i nikt nie daje róż?

Tak. Tyle, że z niewielkim udziałem kilku pań, a właściwie jednej, która swego czasu nie tyle mnie „zdołowała” co raczej „rozjechała walcem”, za co zresztą jestem jej dziko wdzięczny. Inaczej byłbym dziś zapewne mętnym wykładowcą wyższej uczelni albo sfrustrowanym dziennikarzem, a tak jestem zmiennocieplnym temperaturowym wykonawcą, który reprezentuje tylko siebie.

Znaczna część młodych ludzi o niższym niż „kasprzyckofile” stopniu wtajemniczenia, kojarzy pana z...

„...Yyyyy... Robertem Kasprzyckim- yyyy, autorem piosenki *Niebo do wynajęcia...*” (śmiejch)

Czy zatem dałby sobie pan przyczepić etykietkę tak zwanej „rozwiazdy”?

Nie, rozgwiadza nie, dwa razy gwiazda też nie. W tym wypadku jestem raczej skromną kałamarnicą, która czasami coś tam upuszcza ze swego kałamarza (śmiejch)...

Chciałby pan umieścić swoje *Niebo do wynajęcia* na składance typu „Raz a dobrze” gdzieś między Macareną a zespołem 4 Non Blondes?

Nie, no myślę, że jestem lepszy od 4 Non Blondes, choćby dlatego, że moja piosenka nie jest ściągnięta z utworu Bobby’ego McFerrina. Staram się, żeby to co robię było długofalowe jeśli chodzi o tempo działania. Nie chcę tzw. „szybkiej piłki”. Wolę, żeby te krople atramentu kapaty długo i niekoniecznie gwałtownie. Skoro już nie udało mi się popełnić samobójstwa przed 25 rokiem życia, co zwykle sobie przepowiadałem, to niechże pociągnę do tej, powiedzmy, siedemdziesiątki, aby zostać zamożnym rentierem... (śmiejch)

W jednym z wywiadów podał pan przepis na pisanie: „ukrywać dynamit w kwiatkach”. Czy jest to gwarancją wystrzałowej piosenki?

Oczywiście to klasyczny cytat, trochę na odczepnego. Jak widać po moich piosenkach rzeczony dynamit ma raczej działanie implozyjne niż eksplozywne. Zresztą nawet wolę stan, w którym piosenki pozostają w ludziach, a nie tylko „koszą” listy przebojów...

W swoim wierszu Jan Rybowicz stwierdził, że „wiersze piszą ci, których zawiodły wszystkie przeciwbólowe środki” - czy dla pana wiersze to również uśmierzające tabletki ze słów?

Myślę, że wiersze piszą ci, którzy chcą je pisać. I grafomani i poeci. Ot, w pewnym momencie niektórym to przechodzi a niektórym nie. I zależnie od tego, czy Bozia ich pocałowała, dotknęła, kopnęła, czy jedynie musnęła swoją srogą łagą, powstają rzeczy ważne albo mniej ważne. Ja wolalbym wierzyć, że nie wiersze nie są tylko jedynie poetycką formą leczniczą, lecz świadomą grą ze światem przy pomocy wiersza.

„Czego trzeba poecie, żeby mu lepiej było na świecie”?

W cytowanym wierszyku wymienione są moje zgryźliwostki dotyczące obiegowego rozumienia poety jako prostaczka bożego, stąd też sam tytuł „Sylogizm o poetach II”. A tak na serio: sądzę, że poeta potrzebuje publiczności - jej docenienia, zauważenia - to go bardzo otwiera. W momencie, kiedy jest świadom tego, że mówi do dużej społeczności jego głos brzmi inaczej. Myślę, że gdyby Adam Mickiewicz pozostał „Mićkiewiczem”, co to żmudzkie łby obucza, gdzieś w Wilnie, czy innym Nowogródku, a swoje utwory czyta rodzinie i sąsiadom w sobotnie popołudnia, po rosoli i

kołdunach, to jego wiersze mówiłyby o czym innym. Zostałby zapewne na poziomie adorowania tej nieszczęsnej Maryli i nigdy nie napisałby *Dziadów*.

Co zatem stanowi katalizator pańskiej twórczości?

Sądzę, że gdzieś pod spodem, u źródła jest zawsze pewna „nerwopoezja”, wynikająca raczej z niepokoju, a nie z tego, że siedzi sobie dobry gospodarz pod lipą, albo na przyzbie i pisze jakie mu tam ładne chmury płyną nad ścierniskiem. Z jednej strony zazdroścę poetom, którzy są tacy „ładni” i mają w sobie tę sielskość - anielskość, a z drugiej strony szkoda mi ich, bo są postrzegani jako niegroźni „misiowie puszyści”, niezdolni do jakiegokolwiek metafizycznego dreszczu. Zresztą przypuszczam, że ze względu na piosenki, które „gdzieś tam” się zakorzeniły, także i ja bywam tak postrzegany... Dlatego wersje koncertowe moich działań są taką, hm, perfidną destrukcją tego obrazka. (śmiech)

Czyli bardziej Kraina Gwałtowności niż Łagodności?

Może po stachurowemu - Jaskrawości. Kraina Gwałtowności, jak to było u Świetlickiego - niekoniecznie. Za to gdyby istniała jakaś Kraina Wrażliwości to mógłbym tam mieszkać nawet na prawach azylanta.

Majordomus?

Nie. Nawiązując do wizji majordomusa granego przez Anthony'ego Hopkinsa w z „Okruchach dnia”, byłbym zaledwie pikolakiem, który rozkłada sztuce, ponieważ mniej więcej wie jak to robić. Z drugiej strony to ważna rzecz wiedzieć jak kroić mięso języka... (śmiech)

Łatwo istnieć w szołbizniesie będąc jednocześnie poza nim?

Nie mam pojęcia. Ja gram dla ludzi i dla siebie, a jeśli ktoś z tzw. dużych mediów coś na mój temat napisze, tylko się cieszę. I nieufnie dziwię. Wydaje mi się, że szołbiznes jest trochę jak fabryka produkująca wędliny. Są wędliny z wyższych półek, kielbasa dla „proli”, ale jest też najprostsza pasztetówka - proteinowa mieszanka wszystkiego z wszystkim, włącznie z chłopem, który do punktu skupu żywca przywiózł swa ostatnią krowinę. A kampanie prasowo-medialne pełnią tu funkcję firmy reklamowych - wmawiają odbiorcy, że tym razem pasztetowa jest naprawdę pasztetowa. Wydaje mi się zatem, że będąc poza tym pasztetowym biznesem mogę sobie pozwolić na wolność. Pewnie, że taka wolność czasem boli, ale wolę być obecny przez to, co pisałem a nie przez to, że rozwodzę się z szóstą żoną albo dokarmiam misia pandę...

Nie chciałby pan być tak masowy jak Budka Suflera czy Kombi?

Oczywiście, że jest to jakaś pokusa. Pewnie, że chciałbym być masowy, ale wydaje mi się, że tzw. masa nie jest gotowa na przyjęcie takiej dawki przewrotności jaką proponuję (śmiech). Bycie gwiazdą pewnie wiele ułatwia jeśli chodzi o gromadzenie finansów na działalność sceniczną i pozasceniczną, ale z drugiej strony...Staram się iść w stronę niezależności i dyskretnego korzystania z dobrodziejstw cywilizacji niż opierania się na koincydencjach szołbiznesowych, wykuwanych podczas licznych bankietów i grill-parties.

Czy czuje się artystą wolnym?

W jakimś sensie tak, bo żyję z tego, co robię, czyli jestem, powiedzmy, artystą, który może traktować swoją twórczość jako docelową, a nie jako przypadkowy „break” między pracą w biurze podać czy hurtowni zabawek metalowych.

Stwierdził pan kiedyś, że wobec siebie ma wybitne oczekiwania...

Wybitne, czyli wysokie. Zwykle przeszkadzają one tzw. artyście szolbiznesowemu, bo tam panuje wieczna afirmacja tego, co się robi. A ja, cóż - chciałbym nagrywać albumy nie tak często, ale tworzyć je tak, aby stanowiły silną grupę kawałków wiążących się w pewien sposób i nie odstających od siebie.

Czy przy takiej konstrukcji psychicznej łatwo było się ścigać w konkursach?

Mnie było o tyle trudno, że będąc przekonany do tego, co robię, nie byłem przekonany do siebie w ogóle. Moja obecność na scenie zawsze jest wynikiem kompromisu zawartego między miłością własną a chęcią masochistycznego dopieprzenia sobie, więc pod tym względem ściganie się z przeuroczymi, wiotkimi mężczyznami o długich palcach z jednej strony motywowało mnie, a z drugiej działało wyłącznie negatywnie. Inna sprawa, że ja w zbyt wielu konkursach tak naprawdę nie startowałem. Wcześniej były to takie szkolne konkursiki, granie z gitarą: wychodziło się na scenę, mruzczało Okudźawę czy Stachurę i było to traktowane w kategoriach przygody, nie jako wyścig. Natomiast kiedy w 1992 roku wszedłem na scenę - właściwie był to mój debiut na dużym konkursie i to na kultowym dla mnie Studenckim Festiwalu Piosenki, który wygrali wszyscy Wielcy, jednym słowem - wstyd przyznać - wygrałem od strzału i tak naprawdę nie wypadało się potem nigdzie z nikim ścigać. Zresztą, kiedy przyjeżdżałem potem na jakiś konkurs, już jako gość festiwalu, to i tak, osobnicy biorący mnie za konkursowicza nerwowo szeptały w garderobie „O k...!”, co w sumie nastrajało mnie, pozytywnie, bo czułem się trochę jakby Indianie komentowali przyjazd kawalerii USA...(śmiej), ale z drugiej strony...(śmiej).

Technik mechanik, polonista. Jakie zagrożenia zawodowe związane są zatem z obróbką skrawaniem słów?

Lubię to porównywanie obróbki skrawaniem do pisania i obrabiania słów, bo tak naprawdę spory zasób słów posiada z nas każdy, natomiast sztuką jest ...

... nadawanie przedmiotowi obrabianemu żądanego kształtu, wymiarów i właściwości warstwy wierzchniej przez usunięcie części materiału za pomocą narzędzia skrawającego..?

No właśnie.. Michał Anioł kiedyś powiedział, że wykuwanie rzeźby polega na tym, iż zdziera się z niej to, co jest zbędne. Podobnie jest ze słowami. Tu pokazuje się tzw. maestria kogoś, kto się tego uczył albo ma talent. Akurat w przypadku obróbki sworzni talent nie jest tak istotny.. bo powiedzieć o kimś, że ma smykankę do toczenia sworzni, to taki dość perwersyjny rodzaj komplementowania... (śmiej) Myślę, że są to o tyle zbieżne rzeczy, że wymagają dużej pokory. I że jest duża konkurencja.. tak naprawdę ilość sworzni na rynku jest podobna do ilości piosenek.. a gdybyśmy mieli te paralele tak wymieniać to by można pociągnąć do kolacji...(śmiej)

Jaki kapitał wnosi pan i jaki otrzymuje wychodząc na scenę?

Dużo zależy od publiczności, ona kreuje klimat, tempo, aurę koncertu. Ja wnoszę na scenę moje piosenki, poczucie humoru oraz chęć podbicia publiczności, gram, jak to ktoś ładnie ujął, jakbym grał ostatni raz w życiu. Wydaje mi się, że inaczej nie miałoby to sensu.

Kasprzycki sceniczny, nie ukrywajmy, robi spore wrażenie na widowni, szczególnie zaś na tej mocniej sfeminizowanej części elektoratu koncertowego...

Bardzo mi się ta wizualna strona koncertów podoba, ponieważ kobiety są ładniejsze, miękkie, miłe, na ogół inteligentniejsze od mężczyzn.. o ile nie są zaborczo inteligentne, te mają problem, usiłując udowodniać mężczyznom, że wszyscy mężczyźni to debile. (śmiech) Mam to szczęście, że kobiety przychodzące na mój koncert mają w sobie ten typ ciepłej inteligencji, który jest inteligencją ku sobie, czyli nastroja integrująco. A panowie? Hm, zazwyczaj przychodzą na koncert trochę na zasadzie, żeby popatrzeć, czy ten gość jest lepszy od nich... co w sumie zwykle mnie peszy, bo jak ktoś belfrem patrzy i słucha, to robi się gombrowiczowsko. (śmiech). Poza tym, cóż, ta „kobiecość” w wymiarze koncertowym jest zdrowa.. dziwnie bym się czuł, gdyby na widowni siedziała jednostka wojskowa. Nie wiedziałbym w ogóle co z nimi zrobić. Poranną zaprawę?(śmiech)

Ma pan dystans do życia?

Nie, chyba nie mam.

A do siebie?

Matko, bez niego nie mógłbym żyć. Chyba jedyne co mam, to dystans do siebie.

Do czego nie potrafi pan mieć dystansu?

Do swojej rodziny chyba. Tej, którą naprawdę mam, czyli mojej dzielnej żony i syna. Nie umiem też śmiać się z cudzej słabości albo „gorszości”. Pod tym względem jestem klasycznym obrońcą uciśnionych (śmiech). Takie męskie śmianie się w jakże męskiej w grupie męskich mężczyzn, nabijających się z kogoś gorszego wywołuje we mnie raczej furię Nemeckiego niż radość, że jestem jednym z nich.

Bardziej Nemecek czy Marek Piegus?

Marek Piegus to był chłopina, rzekłbym, który z ponurą desperacją przyjmował dotykające go nieszczęścia. Nemecek za to, jak wiemy, gorzej skończył, ale przynajmniej lubił się kąpać. W sumie moim guru był niejaki Cykorz z *Siódmego wtajemniczenia*. Tak, bycie „gościem z pomiędzy”- pod tym względem bycie bohaterem Nizurskiego zawsze mnie pociągało. (śmiech)

Uśmiecha się pan bardziej wewnątrz czy zewnątrz?

Różnie to bywa. Z pewnych rzeczy się śmieję, rzekłbym „czechowowsko”, ba, „dickensowsko”, a z niektórych lubię sobie „porechotać”. Z tym, że raczej cechuje mnie odchylenie turpistyczno-brytyjskie. Lubię też gdy coś iskrzy w sensie prowokacyjnym, takim na poziomie Cavanny i jego „Pisma Nieświętego”, z pełnym szarganiem tego, co można zszargać można..

Marzenia do spełnienia Roberta K?

Tak, była taka piosenka napisana na zlecenie, jedna z najbardziej lukratywnych rzeczy, jakie mi się zdarzyły(śmiech). Rzecz wyniknęła przypadkiem, kolega miał napisać muzykę, a potrzebował tekstu, więc napisałem słowa, jak to u mnie bywa, od razu z muzyką, chodząc po mieście, tu refren tam zwrotka, i wysłałem tę kasetkę realizatorowi filmu. Okazało się, że moja melodia jest bardziej „serialowa” - nie wiem, czy to komplement czy nie, w każdym razie wyszła z tego zgrabna pioseneczka o takim chłodniejszym, słodko-gorzkim rozumieniu marzeń.

A marzenia prywatne? Oczywiście chciałbym mieć kiedyś dom nad dużym jeziorem albo zatoką San Francisco, gdzie mógłbym pomieścić wszystkie moje książki. Poza tym, cóż, chciałbym dotrwać w znośnym zdrowiu fizycznym i psychicznym do tzw. starości a później się z tzw. godnością zestarzeć Chciałbym też wykrzesać w sobie taką chęć oraz umiejętność panowania nad różnymi

emocjonalnymi pęknięciami. No i kiedyś przebiec maraton. Albo przynajmniej przejechać go na rowerze. (śmiej).

Jak widzi się RK na emeryturze? Otworzy pan restaurację? Poradnię psychologiczną?

Chciałbym być Leonardem Cohenem, żeby, jak on, pośpiewać sobie do osiemdziesiątki, a potem oddać się w ręce wielbiących go kobiet, które niosą ludowi słowo wypowiedziane przez proroka (śmiej). Chciałbym być też Clintem Eastwoodem, który na starość, przeżywszy co większych sukinsynów, może sobie powiedzieć, „Ok., folks, ja wygrałem, wy nie, a teraz mam teraz czas tylko dla siebie (śmiej). Poza tym, cóż, restauracja z poradnią psychologiczną w jednym ? Tak, to byłoby coś...

Dziękuję za rozmowę

I ja dziękuję ślicznie.